

# Księga wyjścia – 19

14 lipca 2019

## Ballada sąsiedzka

Potrzebowałem pretekstu by wyrwać się z Puław, a takim pretekstem było zaproszenie z ambasady Republiki Białoruś na obchody ich święta narodowego, czyli Święta Niepodległości, a przy okazji stulecia białoruskiej dyplomacji.



Spokojne, unormowane i przewidywalne życie jest czymś naprawdę fajnym, ale pod warunkiem, że czasami się z niego wyrwiemy. Na początku zauważyłem u siebie syndrom zerwanego ze smyczy psa, który chciałby nadrobić wszystko na raz i nie wie od czego zacząć. Ponieważ potrafiłem spojrzeć na to z dystansu, to nawet to było fajne.

Codzienna rutyna zaczynała mnie już nużyć (choć się do tego za cholerę nie przyznawałem) zaproszenie i wyjazd spadły mi z nieba. Siedziałem więc sobie w Warszawie przekładając powrót z dnia na dzień, aż przyszła sobota, czyli termin moich regularnych wizyt w lubelskiej przychodni i chcąc nie chcąc musiałem wrócić. Okrężną drogą, bo przez Lublin. Tak zakończyły się nieplanowane wczasy w mieście, w którym

spędziłem znaczną część życia i którego nie da się nie kochać. Odebrałem swoją porcję Suboxonu i wróciłem do Puław, gdzie ponownie wszedłem w wypracowany wcześniej rytm.

Tutaj też nastąpiło kilka zmian. Od kiedy poznałem Iwonę, która postanowiła zrobić coś z książką „Z dna”, zaczął się więc niespodziewany ruch. Jakimś cudem ożywiła tę publikację, dokonała niemalże cudu reanimując umierającą i odchodzącą w zapomnienie książkę, czym wprowiła mnie w osłupienie. Wysłała elektroniczną jej wersję do najbardziej liczących się blogerów od literatury, a recenzje jakie pojawiły się w następstwie tej decyzji, powaliły mnie na ziemię i dały nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Tak więc planujemy wznowienie wydania książki „Z dna”, mało tego w formie rozszerzonej o kolejny tom. Ale szczegóły będziemy zdradzać pomału.

Obchody samej białoruskiej uroczystości opisałem w poprzednim odcinku, więc nie będę się powtarzał. Chociaż wrył mi się pamięć obraz Korwina-Mikkego, który po zakończeniu imprezy, z przejedzenia musiał usiąść w hotelowym fotelu eksponując brzuch przypominający nadmuchany do granic balon (przynajmniej tak to wyglądało). Widok ten wciąż doprowadza mnie do śmiechu i nie mogę sobie darować, że nie zrobiłem zdjęcia.

Przy okazji obchodów pojawiło się kilka refleksji. Republika Białoruś, mimo że jest naszym sąsiadem, to tak naprawdę bardzo mało o niej wiemy, nie znamy literatury, muzyki, sztuki czy kultury. Nie wiemy nic o historii, co można zwiedzać i gdzie warto pojechać. Czy są tam jeziora, w których można wędkować, lub podobnie jak na Mazurach udać się w kilkudniowy rejs jachtem? Kraj bliski, a kompletnie nam nieznany. Jedyne co funkcjonuje w powszechnej świadomości to, że prezydentem jest Aleksander Łukaszenko, a stolicą Mińsk.

Zasypany niegdyś czarnym public relations (PR) prezydent, również odchodzi w powszechne zapomnienie. Teraz wszyscy rzucili się na opluwanie Putina. Drugim naszym sąsiadem, o którym niewiele wiemy jest Słowacja, nie wiemy jak nazywa się

prezydent, a znaczna część społeczeństwa ma problem, by podać nazwę miasta, które jest jej stolicą. Sprawdziłem to empirycznie.

Jedną z naszych przywar narodowych jest to, że nie potrafimy przyznać się do niewiedzy i uwielbiamy śmiać się z głupoty obywateli innych państw. Niejednokrotnie byłem świadkiem gdy „ławkowi” lub „podsklepowi” mędracy zanosili się śmiechem, że Amerykanie nie wiedzą jak się nazywa stolica Polski. Początkowo wtrącałem się w te rozmowy, pytając czy wiedzą jakie miasta są stolicą Hondurasu czy Kolumbii, ale potem obniżyłem poprzeczkę i pytałem o Słowację. Zwykle kończyło się zmianą tematu, ale kilka razy omal nie doprowadziło do bójk. Fajnie się śmiać z Amerykanów, mieszkańców USA – które tak na marginesie jest jednym z bardziej zniechęconych przeze mnie państw – że jego obywatele nic nie wiedzą o Warszawie, zupełnie nie przejmując się tym, że sami nie wiemy o stolicy Słowacji – Bratysławie. Pomijając już to, że naprawdę niewiele osób wie, że Słowacja była trzecim agresorem po Niemcach i ZSRR, który napadł Polskę w 1939 roku. Ale jak już ustaliliśmy, w słowniku przeciętnego Polaka fraza „nie wiem” nie istnieje.

Wracając do znajomości naszych sąsiadów, to wydawałoby się, że o Białorusi wiemy więcej, bo znamy prezydenta i potrafimy wymienić stolicę, ale Słowację znamy lepiej, ponieważ częściej bywamy. Sam wielokrotnie jeżdżąc w Tatry kwaterowałem po Słowackiej stronie, nie tylko ze względu na cenę, która kiedyś była dużo niższa (teraz podobno się to zmieniło), ale również dlatego, że mają znacznie ładniejsze szlaki, piękniejsze widoki, wyższe góry, mniej turystów i są bardziej „dzikie” mniej zdeptane, przez różnego rodzaju turystów, których niekiedy TOPR musi ściągać helikopterem. Chociaż raz zdarzyło mi się znaleźć butelkę po polskim piwie i to w takiej prawdziwej słowackiej głuszy, na dosyć sporej wysokości.

Wrócę jednak na ziemię, czyli krótka dygresja o polityce. Znowu rozpętała się burza, to akurat nic dziwnego, ale tym

razem jej efekt był zaskakujący. Mam na myśli aferę, po wywiadzie udzielonym przez Andrzeja Stanisławka, wiceministra nauki i szkolnictwa wyższego, w którym stwierdził, że przecież młodzież może szukać szkół zagranicą. Stanisławek po tej wpadce zachował się jak prawdziwy europejski polityk, czyli podał do dymisji. Zrobił coś czego bardzo brakuje w krajowej polityce i tu należy mu się szacunek, mimo, że pod względem politycznym i światopoglądowym stoimy na przeciwnych biegunach, to w tym wypadku należy mu się szacunek. To chyba pierwsza taka honorowa dymisja od 1990 roku. Były wcześniej dymisje, ale dopiero gdy prokuratura składała już akt oskarżenia, lub odpowiednie służby aresztowały jakiegoś polityka, który chwilę później i tak był już na wolności. Nawet nie trzeba daleko szukać, zachowanie Stanisławka powinno dać do myślenia samemu premierowi Morawieckiemu, po którym spływają jak po kaczce (nomen omen) wyciekające co jakiś czas nagrania, i któremu nawet nie przyszło do głowy by wspomnieć o honorowym odejściu. Cały klub PiS-u staje wtedy na głowie i usiłuje przekuć to w atut, że „tymi słowami udowadnia, że jest człowiekiem” albo jaki z niego „swój chłop”, że ideał, ale i rubaszny i tego typu bzdury. Uszy wiedły od słuchania.

Jedyne co mogę zrzucić byłemu już wiceministrowi, to korzystanie z piętnowanego rozdawnictwa. Tak, ja lewak i socjalista jestem przeciwny rozdawnictwu na wysokich szczeblach. Przecież resort Nauki i Szkolnictwa Wyższego powstał jedynie po to, by Jarosław Gowin miał jakieś płatne zajęcie w rządzie. Wcześniej zajmowały się tym odpowiednie departamenty Ministerstwa Edukacji Narodowej. I świetnie sobie radziły.

Tym wszystkim liberałom zajmującym się tropieniem rozdawnictwa sugeruję, by zaczęli od samej góry. Bo to właśnie tam powstaje cały szereg bardzo wysoko płatnych – kompletnie niepotrzebnych – stanowisk, tworzonych tylko po to, by obsadzić nimi swoich ludzi. Więcej o polityce pisać mi się nie chce, bo i tak robią to wszyscy. A ponieważ mam jeszcze trochę miejsca, to podzielę

się z Wami pewnym marzeniem.

Jeżeli ikony się pisze, a nie maluje, to powinno się je czytać, lub czytać i oglądać. Zawsze dążyłem do tego, by moje felietony czy książki były nie pisane, a malowane za pomocą liter czy słów, podobnie jak obrazy, by właśnie móc jednocześnie czytać i oglądać – metaforycznie oczywiście. To wymaga perfekcyjnego opanowania sztuki plastycznego pisania. Połączenia poezji z prozą, tak by tekst był jednocześnie obrazem, żeby czytelnik zapamiętał wrażenia, a nie spisane suche fakty, dane, opisaną historię, czy ładne fragmenty. Może kiedyś mi się to uda. Na razie jeszcze próbuję.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: [Trybuna.info](http://Trybuna.info)